TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel. 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie....................$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 34. Chicago, Ill., Czwartek, 25-go Sierpnia, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKOW.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce po przedstawieniu i powitaniu na dworze król rozpuścił rycerstwo, dając mu bardzo krótkie roki, bo wnet po obejrzeniu się i utwierdzeniu ładu w kraju, wybierał się na daleką i długą wyprawę i wszystkich rycerzy na nią powoływał. Każdy więc korzystał z chwili, by dom i rodzinę odwiedzić; pani Hanna z córką chciała wyprzedzić męża i syna, by im w domu staranniejsze przygotować przyjęcie, lecz kiedy stanąwszy u przewozu obejrzała się za siebie, spostrzegła dościgających prawie jej wozu męża i syna na spienionych koniach, a z nimi trzeciego jeszcze rycerza, którym, jak się wnet pokazało, był Mikołaj Strzemieńczyk.

Nie chcąc tracić ani chwili obecności ukochanego męża i ojca, Hanna i Małgorzata uprosiły go, by oddawszy pachołkowi konia siadł z niemi na wóz na czas przewozu, a gdy się na to zgodził, towarzyszący im rycerz skoczył w wodę na swoim rumaku i w pewnem oddaleniu płynął obok promu, patrząc w milczeniu na całą rodzinę. Jaśkowi podobała się ta fantazya, skoczył także w Wisłę i po drugiej stronie promu płynął, jak drugi strażnik swoich ukochanych, zbliżając się często i mieszając się do rozmowy.

Gościnnie w Brzeziu przyjęty pan na

Zembocinie, tłómacząc swoją skwapliwość krótkim terminem przez króla oznaczonym, w tydzień po przybyciu prosił Pietrasza o rękę jego córki. Ojciec odłożył odpowiedź do narady z żoną, a lubo pani Hanna nie myślała jeszcze była o rozstaniu się z córką, zaledwie ośmnasty rok zaczynającą, rozważywszy trudne położenie kobiet, zostających w kraju po wyjeździe rycerstwa prawie o własnej sile, zważywszy stanowisko i zasługę Mikołaja Strzemieńczyka, zasięgnąwszy zdaleka zdania córki, którą uprzejmość i szlachetność rycerza ujęła, zgodzili się państwo z Brzezia na przyjęcie go za zięcia.

Nie było jeszcze w owych czasach mody na wyprawy; w zamożnym domu Pietrasza znalazło się dość zapasów, by się niemi z córką, na gospodarstwo nowe się wybierającą. podzielić; Hanna więc z pomocą wiernej Rzepki i jej podwładnych wkrótce wygotowała szat, chust i naczynia tyle, że na dwa wozy ledwie się to pomieścić mogło. Panowie tymczasem jeździli kilka razy do Krakowa. Trzeba było opowiedzieć się dworowi, nie tyle dla króla, który sam urządzając swoje sprawy podług własnego widzimisię, nie mieszał się dotąd w rodzinne układy swego rycerstwa, ile dla królowych, tak szczerze i serdecznie rodzinie Brzezieńskich życzliwych. Prócz tego, Mikołaj Strzemieńczyk nie mógł zapomnieć, że w dziedzicznym jego Zembocinie przed laty był proboszczem, teraz powszechnie szanowany, poważny biskup krakowski, Stanko, czyli Stanisław Szczepanowski, a on sam, młody wówczas chłopak, młodemu proboszczowi do Mszy św. sługiwał. Zawiązany naówczas życzliwy stosunek trwał dotąd, pomimo różnicy zawodów jakie sobie obaj mężowie obrali; chciał się więc rycerz dowiedzieć, czy przybywając w właściwej porze do Krakowa, nie mógłby sobie uprosić, by czcigodny sługa boży pobłogosławił jego przysięgę na nowe zupełnie życie.

Parę razy nie zastał biskupa; objeżdżał właśnie swoję dyecezyę, jak zwykł to był czynić, zachęcając do pobożności, do pracy, do miłości chrześciańskiej, wspierając sieroty i wdowy. Nakoniec, gdy Mikołaj na bytność świętego męża w kościele natrafił, przyrzekł mu biskup tak swój objazd dyecezyi pokierować, by w dniu właściwym znaleźć się na miejscu i kapłańskiem błogosławieństwem połączyć dwie bogobojne i znane sobie rodziny.

— Stolica i dwór nasz teraźniejszy nie jest to miejsce właściwe na rozpoczęcie nowego i cnotliwego żywota; lepiej, że z pod dachu rodzicielskiego pod swój własny prosto się udacie — rzekł świątobliwy kapłan

I stało się podług jego wskazania; w kościele Tynieckiego opactwa, jako połowie drogi między Krakowem a Brzeziem, w dniu na to przeznaczonym, zebrała się najbliższa rodzina panny młodej i drużyna pana młodego. Przed ołtarzem, w biskupich szatach, z infułą na głowie, stanął czczony już w całym kraju, choć nie sędziwy jeszcze, Stanisław, biskup krakowski; odprawiał Mszę Świętą, otoczony licznem gronem zakonników, duch jego czystą i gorącą pobożnością zagrzany zdawał się unosić go ku niebu, a całą postać otaczał blask jakiś niepojęty, czy to świątobliwego życia, czy czekającej go w niedługim czasie śmierci męczeńskiej. Przewielebny Opat tyniecki o wiele od pobożnego męża bogatszy i możniejszy, chętnie przyłączył się do orszaku, trzymając jako pokorny zakonnik pastorał biskupi w czasie nabożeństwa.

Przez cały czas Mszy, z wyjątkiem czytania Ewangelii Ś., wszyscy obecni modlili się na kolanach, lecz gdy z otwartej księgi poczęło się czytanie: "Dobrej nowiny", podnieśli się rycerze i każdy dobył do połowy oręża, na znak, że gotów bronić świętej swojej wiary, choć naówczas koniecznej tego potrzeby nie było; ale u nas z dawna i w długie czasy było zwyczajem, piękne szanować pamiątki, a pierwsi w Polsce chrześcianie, zbierając się na nabożeństwa, musieli być zbrojni, by skutecznie odpierać napady niechętnych pogan.

Pannę młodą całą w bieli, cienkim rąbkiem owiniętą, z rozmarynowym wiankiem na czarnych włosach, otaczało grono domowych dziewcząt, równie biało odzianych, bo nasze kobiety zawsze się w bieli kochały; krewna Krysta z Brożycy i Halszka, dorastająca siostrzyczka, w rucianych wieńcach, jako dwie druchny, stały Małgosi przy boku. Lubo za panem Mikołajem stała poka-

źna drużyna, z dzielnych rycerzy złożona, dwoma drużbami byli mu młody Jaśko z Brzezia i sędziwy Benko z Grądów, bo ten, chociaż przez liczną rodzinę czczony i kochany jak patryarcha, w zawdzięczeniu miłości i życzliwości jaką miał dla niej, zawsze zajęty sprawami kraju i domu, nie miał czasu myśleć o sobie i do późnej starości pozostał bezżennym.

Po modlitwie i błogosławieństwie w kościele, po czułem podziękowaniu w zakrystyi, nastąpiły uprzejme zaprosiny do Brzezia; biskup chętnie nawiedzał niedole wszelkiego rodzaju, pocieszał i wspierał strapionych, ale w wesołych ucztach nigdy nie brał udziału. Opat i zakonnicy mieli obowiązek uczczenia świątobliwego gościa, będącego w ich ścianach, weselne grono zatem jak przybyło, tak i podążyło samo ku domowi, gdzie je gościnne czekało przyjęcie, a za dni parę liczne jeszcze grono życzliwych odprowadzało nowozaślubionych, ci bliżej, ci dalej, jak im własne pozwalały sprawy na drodze do Zembocina, gdzie już sami, w otoczeniu tylko domowników przybyli.

Skoro nadszedł czas naznaczony przez Bolesława na postanowioną wyprawę, a młody i niecierpliwy władzca nie doliczył się nawet połowy zwykle go otaczającego rycerstwa postanowił nie czekać dłużej, tem bardziej, że pogodzeni przez niego ruscy książęta, z powodu nowych zatargów wzywali jego przybycia, lecz z gotowemi hufcami puścić się w drogę. Doświadczonym, wpływowym i wiernym sobie polecił zachęcanie i zbieranie liczniejszych wojowników, z obowiązkiem doprowadzenia mu ich w posiłek, gdzie i kiedy wskaże.

Między tymi mężami zaufania był Pietrasz z Brzezia i Mikołaj z Zembocina; to było powodem, że nasza Małgorzata nie znalazła się od razu samotną na nowej swojej siedzibie. Jak dotąd dom rodzicielski był dla niej wszystkiem, tak i teraz w ścianach własnego domu cały świat swój i całe szczęście widziała i jedynem jej było życzeniem, by w Zembocinie tak wszystkim dobrze było, jak u jej matki w Brzeziu.

Prędko zszedł koniec lata i jesień; wojownicy nie radzi byli opuszczać swoje siedziby, gdzie od lat kilkunastu rzadko im rycerskie upodobanie króla pozwalało wytchnąć na czas dłuższy, zbierali się więc powoli; zima była bardzo ostra, pod tym pozorem zwlekło się jeszcze wyprowadzenie wojska aż na drugą wiosnę. Pietrasz powiódł nieliczne hufce do Przemyśla, gdzie król przebywał, zamiast spieszyć do Kijowa, a Mikołaj pozostał jeszcze, by namawiać dotąd się ociągających.

Chociaż kobiety nasze, przywykłe do częstych a długich nieobecności w domu mężów i synów, umiały panować nad smutkiem i tęsknotą, umiały w zarządzie domem i gospodarstwem obywać się bez pomocy mężczyzn i radzić sobie własną głową i siłami pozostawionych im ku pomocy kmieci, którzy na dalekie nie chodząc wyprawy zajmowali się uprawą roli — jednakże po wyjeździe pana z Brzezia tak się Hannie dom pustym wydał, że urządziwszy wszystko, pod Rzepki dozorem zostawiła i wraz z Halszką wybrała się odwiedzić Małgorzatę.

Radość to była wielka; wypieszczona Małgosia, pierwszy raz w życiu na czas tak długi rozłączona z matką i siostrą, nie wiedziała prawie jak ma uciechę swoję okazać; pan Mikołaj, który żonę jak źrenicę oka kochał, całem sercem podzielał jej wesele, a poważny dotąd Zembocin ożywił się na przyjęcie miłych gości.

Dwór leżał na wzgórzu pokrytem zielenią jak aksamitem; otoczony krzewami i rozmaitem zielem, jak z za firanek poglądał z jednej strony na poważny z wysoką wieżą kościołek, z przeciwnej na rzeczkę, płynącą niby wstęga srebrzysta, a z dwóch innych na gęste lasy dębowe i jodłowe, wśród których, jak szmaragdowe kobierce, rozlegały się mniejsze i większe polany.

Halszka z Małgorzatą używały ochoczo tych piękności natury, równie jak dostatków i wygód nagromadzonych staraniem pana, któremu nic się nie zdawało za drogiem ani za pięknem, co się żonie podobać mogło. Ale pani Hanna inną tu dla siebie rozkosz znalazła.

W Brzeziu nie było kościoła; chociaż więc pani jego głęboko była pobożna, nie często pozwalała sobie przerywać w święto spoczynek pracującym ludziom i zwierzętom, nie w każdą nawet niedzielę jeździła na

nabożeństwo do odległego o dwie mile Tyńca, lub do innej parafii, bo to większą część dnia zabierało, a dwie mile Tyńca, lub do innej parafii, bo to większą część dnia zabierało a wiedziała, że mąż nie rad był, gdy jej w domu nie było, bo nikt wtedy do życzeń jego zastosować się nie umiał.

W Zembocinie proboszcz staruszek co rano Mszę Świętą odprawiał poważnie, z namaszczaniem i uroczystością, jakby na Wawelu w katedrze; co dzień te Hanna, klęcząc u stóp ołtarza, modliła się serdecznie o szczęśliwy powrót męża, o powodzenie syna, o którym nieraz długiemi czasy wiadomości nie miała i wynagradzała sobie długi czas spędzony wprawdzie na pełnieniu obowiązków, których ważność znała, ale z daleka od kościoła, co wszelkie obowiązki uzacnia i uświęca, dając do nich moc i pogodę ducha.

Blizko niej nieliczna gromadka niewiast modliła się równie żarliwie, a po Mszy Hanna, wychodząc za niemi, dostrzegała nieraz ślady łez lub strapienia na ogorzałych twarzach; wtedy szła ze smutnemi przez pola i łąki, usiłując dobrem słowem pocieszyć, lub dopytać się powodów cierpienia, by im zapobiedz lub ulżyć. Nieraz zachodziła aż do chat ubogich kmieci, pomagających dworowi w rolnictwie, niosąc zawsze pomoc lub poradę; córki towarzyszyły jej często w takich odwiedzinach, a kiedy opieszały lub nieposłuszny wyrostek wyproszony od kary, dziewucha obdarzona barwistym pasem, matka przytulająca uleczone dziecię, chcieli swoję wdzięczność okazać, Hanna mawiała:

— Kochajcie tylko moje dzieci!

I życzeniu jej stało się zadość; — nigdzie może stosunek kmieci i służby do dworu nie był tak przyjazny i życzliwy, jak w Zembocinie; zdawało się, że uszanowanie pochodziło od dzieci, rząd i opieka od rodziców, tak spokojnie płynęło tam życie, tak dokładnie wykonywano potrzebne prace. Czasem tylko zakłócał tę ciszę ogólną wybrykiem swoim jaki servus, wzięty po wygranej bitwie w czeskiej, ruskiej, lub nieniemieckiej wyprawie, ale takich wnet uspokajano, tem łatwiej, że każdy dążył do tego aby dobrem postępowaniem zasłużyć na włączenie między pachołków, a później między kmieci.

Często też Małgorzata z siostrą, po nabożeństwie lub odwiedzinach proboszcza wdzierały się na wieżę posprócbniałych schodach, bo im się utrudzenie nagradzało prześlicznym widokiem, jakim się ze szczytu cieszyć było można.

— Jesteśmy tu jak królowe na zamku! — mówiła Halszka.

— Szkoda tylko, że nie ma gdzie tronu postawić — odpowiadała Małgorzata — ale tu nie ma ani gdzie usiąść, ani spocząć i stać długo nie byłoby wygodnie między belkami i schodami.

Wesoło i pogodnie upłynęło lato połączonej rodzinie; ale na jesień pani Hanna chciała zajrzeć do swego gospodarstwa i wybrała się do Brzezia, zostawiając obie córki razem, z warunkiem, że na wiosnę ją odwiedzą. Coraz też częstsze przychodziły wezwania od króla, narzekającego, że z małemi siłami wojennemi nie może wykonać co postanowił; Mikołaj z Zembocina objeżdżał sąsiadów, powoływał znajomych i nareszcie pod koniec zimy wyruszył z dość licznym pocztem gdzie go wojenny obowiązek wzywał. Zostawił przy domu stare tylko i wierne sługi, w pomoc im dodał koniecznie do uprawy ziemi siły, a lubo opuszczając Zembocin długo jeszcze zwracał ku niemu spojrzenia i pochylaniem włóczni odpowiadał zwojom białego rąbku, którym Małgorzata z okna powiewała, spokojnym był i pewnym, że niezadługo, czy to z zwycięzkim, swoim królem, czy za jego pozwoleniem, wróci do domu, który mu teraz droższym się stawał.

* *

Cisza zupełna zaległa teraz dwór Zembociński, dwie siostry skracały sobie czas różnemi sposobami: przechadzka, nabożeństwo, roboty ręczne, nadzór nad domowemi pracami i udzielanie pomocy a leków, po które często z kmiecych chat się udawano do dworu, zabierały im wszystkie chwile, a jednakże nieraz smutek i tęsknota zachmurzały młode ich czoła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

Potem zaczął opowiadać, jak to haftowanie przez sokoła zostało porwane, gdy właśnie w otworze leżało, a on sam w smutnych myślach był zatopiony. Następnie opisał mu, jak się wydostał z ciemnicy i jak go jeden z wybawców przez Ren przewiózł. "Kilka tygodni," rzekł dalej, "przepędziłem w pewnym klasztorze. Przyjęto mię tam gościnnie i dano mi przytułek, abym był bezpieczny od prześladowań rycerza Felzenhejm. Wreszcie wdziałem na siebie pielgrzymie to odzienie i ruszyłem w drogę ku Szwajcaryi. Tu bowiem w jaskini Beatusa miałem znaleźć mego wybawcę i dowiedzieć się od niego wiele przyjemnych rzeczy. O Teodora, droga moja małżonka, jakżebym był szczęśliwy, gdybym cię mógł wkrótce przycisnąć do łona!"

Tu wziął go Beatus za rękę i rzekł poważnie z wielkim współczuciem: "Uspokójcie się zacny hrabio! Nie rzekliście wy dopiero, że małżonka wasza Teodorą się nazywa? Ale cóż, gdyby już umarła?"

Na te słowa opadła ręka hrabiego, siły zaczęły bić na niego, a w oczach czarno mu się zrobiło. "Ojcze bogobojny!" rzekł wreszcie urywkami, "czyż może nie żartujecie? Znaliście wy ją! O wy biedniecie! Umarła więc? O umarła, umarła! Ach czemuż niweczy jednem tem słowem całą moją nadzieję, wszystką moją pociechę? Widzę ja, że słowo: "umarła" i wy ledwo znieść możecie. Ha! czemużem nie zniszczał w więzieniu! Tamci już nigdy nie liczyłem ani na ocalenie, ani na zobaczenie się z nią. Teraz się dopiero domyślam, co znaczyło owe smutne uściśnienie od mego wybawiciela. Ojcze Beatusie! wyście mnie naprzód o smutnem tem, nader smutnem zdarzeniu powiedzieli, raczcie też być i pocieszycielem moim, a zaprowadźcie mię na jej mogiłę."

"Stanie wam się podług woli," rzekł Beatus; "ale poczekajcie tylko aż do przybycia wybawcy waszego. Może on wam będzie lepszym pocieszycielem, uwiadamiając was o synie waszym. Tymczasem zaś znajdujecie ulgę we łzach tak dobroczynnych. A teraz udajcie się na spoczynek. Prawdziwie, tego wam wielka potrzeba."

To rzekłszy, zaprowadził hrabiego do celi, w której miał spocząć. Będąc niemą boleścią odurzony, chwiał się hrabia na nogach, za nim idąc. Poczem położył się Beatus także spać. O północy zaś przebudziło go łkanie hrabiego, który żadnym sposobem zasnąć nie mógł. — "Teraz płacz sobie," rzekł Beatus po cichu, "wypłacz się do sytości. Jeźli Boska wola, to wkrótce płakać przestaniesz."

Ledwie świtać zaczęło, a już wstał Beatus, przypasał na sobie płaszcz pustelniczy pasem i stanął z krajobrazkiem zamku Waldbergen w kieszeni przed hrabiem, mówiąc: "Muszę ja was nieco samego zostawić. Muszę bowiem kogoś w dolinie koniecznie odwiedzić. Bądźcie mi tymczasem zdrowi. Gdyby wam się tu w samotności nudzić miało, to bierzcie pod kamienny krzyż, stojący przed moją kapliczką." To rzekłszy, wyszedł z celi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Radość niespodziana skutkuje czasem więcej niż lekarstwo.

Dni wiosenne zjawiły się i upłynęły w cichej dolinie nad Tuńskiem jeziorem wśród

niewymownej radości wszystkich wieśniaków. Teodora bowiem stała wreszcie po niebezpiecznej swej chorobie. W kilka dni po napisaniu smutnego jej listu dla syna, wzmagała się jej gorączka, tak że się Teodora lada chwila śmierci spoczywała, zdając się zupełnie na wolą Boską. Ale po upływie godziny przesiliła się choroba. Pot obfity występował noc całą. To przygasiło nieznośny pożar gorączki. Odtąd polepszało się z nią co dzień coraz bardziej: tylko siły niechciały wcale wrócić. Kiedy znowu po raz pierwszy w chacie przy oknie siedziała, grzejąc się na słońcu wiosennem, wtedy zbiegali się wieśniacy gromadami i wyrażali swą radość, iż szczęśliwie wyzdrowiała.

I ojciec Beatus odwiedzał ją często, skoro mu pora roku ze skał zejść pozwoliła. Lecz nigdy jeszcze nie zbliżał się do tej chaty z tak serdeczną radością, jak tą razą, niosąc jej wiadomość o mężu. Była właśnie przy kwiatach w ogródku i polewała je. Było to dla niej jeszcze bardzo ciężko, chwiała się czasem na nogach, a nie mogła polewać bez częstego odpoczywania. Stanąwszy przed nią Beatus, rzekł; "O! pani już znowu tak czynną, jakby wcale nie chorowała." — "A przecię," odrzekła Teodora, "czuję aż nadto, że byłam chorą. Jestem bowiem tak słabą, że mi od najmniejszej pracy ręce i nogi drzeć zaczynają."

Uśmiechnąwszy się Beatus rzekł: 'Szlachetna pani, niedługo a pani przyjdzie do sił utraconych, skoro dla cicho cierpiącego, tęsknego umysłu niespodziana wielka radość się zjawi." "Ach, cóż za radość może mię jeszcze spotkać!" westchnęła żałośnie Teodora. "Od czasu mego wyzdrowienia, usiłuję jedynie w pięknościach natury znaleźć rozrywkę. Chodzę więc po ogródku, po nad strumykiem i po łące. Wielbię ja Wszechmocność Boską, lecz darmo, nigdzie nie znachodzę prawdziwego dla siebie uspokojenia, owszem staję się zawsze smutniejszą. Kiedym jeszcze kochającego mię syna przy sobie miała, wtedy tylko pół tyle cierpiałam. Teraz zaś już długi czas błądzi po świecie, a żadnej nie odebrałam jeszcze o nim wiadomości. Przyobiecał powrócić, skoro konwalie zakwitną, lecz te już kwitną, a on jak nie wraca, tak nie wraca."

Tu zaczęła płakać zbyt rzewnie. Czując ból znękanego jej umysłu w całej okropności starzec, nie był jej w stanie dłużej o jej małżonku zamilczeć.

"Szlachetna hrabino!" zawołał. "utul się pani. Nie darmo wyprowadził panią Bóg dobrotliwy z tak ciężkiej choroby. Jeszcze wielkiej, niewymownie wielkiej radości dożyjesz pani. Lubo dotychczas żadnej pewności nie mam względem pani syna, mam za to wiadomość o jej małżonku."

"Czcigodny ojcze," odrzekła Teodora, "nie napawajże mię próżną nadzieją, bo myśl, iż się nigdy nie spełni, jest dla mnie boleśniejszą od wszystkich cierpień wytrzymanej przezemnie choroby."

Milcząc, dobył ojciec Beatus krajobrazek wyhaftowany i podał go hrabinie z uśmiechem. "O Boże niepojęty!" zawołała Teodora, "czyż to na jawie? Nie mylążę mię może moje oczy? Ojcze Beatusie, powiedzcież, jakże się to dostało w ręce wasze?"

"O tem się jutro pani dowiesz," rzekł Beatus. "Dzisiaj powiem tyle tylko, iż mąż pani jeszcze żyje. Pewien nieznajomy, którego do swojej przyjąłem chaty, a który to haftowanie miał przy sobie, chce pani wiele miłych rzeczy naopowiadać."

"O pójdźmy więc, pójdźmy natychmiast na skałę!" zawołała Teodora, a w rysach bladej twarzy zarumieniła się tak wielka, tak błoga radość, iż w tejże chwili wszystkie ślady ciężkiej choroby zniknęły. Ojciec Beatus zaś wstrzymał ją i rzekł: "Na to ja nie pozwolę, szlachetna pani, lubo wesoła ta wiadomość powrót jej zdrowia przyspieszyć może, przeciębym mogła przeciwnie działać, skoro za nagle, za gwałtownie umysł jej opanuje. Niech więc pani raczy przyjąć moją radę. Jutro zupełnie z rana możesz pani w towarzystwie dobrych swych gospodarzy ruszyć na skałę. Ja i mój gość wyjdziemy wam naprzeciwko. Ale do jutra pani musisz być cierpliwą, a tem większą będziesz miała rozkosz z doniesień przychodnia. Tymczacem poślij pani modły dziękczynienia do Boga najdobrotliwszego."

Te słowa pomogły. Dała bowiem sobie odradzić od natychmiastowego pójścia na skałę. Rzuciwszy się w altanie swego ogródka na kolana, zaczęła się modlić. Oj-

ciec Beatus nie chcąc jej być przeszkodą w wylewaniu najgorętszych uczuć, wzbudzonych nagłą nowiną, wyszedł z ogródka.

Pełen wewnętrznego wesela i oczekiwania na dzień jutrzejszy, wstąpiła w progi Lejtholda, prosząc go, aby się jutro wraz z wielu sąsiadami na skałę potrudzić raczył. Natychmiast rozesłał Lejthold ludzi po całej okolicy, aby prośbę bogobojnego ojca rozgłosili. Sam zaś pojechał jeszcze tegoż dnia za jezioro, dla zawiadomienia o tem Klausa i Rózię.

Przygotowawszy Beatus wszystko na uroczystość dnia jutrzejszego, wrócił do swej jaskini. Było to już późno w wieczór, kiedy się dostał na skałę. Skoro go ujrzał z daleka nieznajomy, zaraz mu pobiegł na przeciwko. "Wyście mnie tu długo samego zostawili," rzekł, witając go za rękę. "Lecz długie me bawienie," odpowiedział Beatus, "było tylko ku dobru waszemu. Ach, jak pięknem jest to pogodne niebo! O wielbmy wspaniałość Boga; potem pójdziemy na spoczynek. Przykra, mozolna ta droga znużyła mię bardzo. I wyście znękani. Widzę to po zaczerwienionych oczach waszych."

Poszli więc na zachodnią pochyłość skały, zkąd mieli widok jak najwspanialszy na zorze wieczorne. "Czcigodny mężu," zagadł Beatus hrabiego, patrzącego ciągle na złoty rąbek obłoku, "nie znajdujecież żadnej pociechy, spozierając na przezroczystą ową chmurkę?" A gdy hrabia płakać począł, wyciągnął Beatus swe ramiona i zawołał pełen miłej tęsknoty: "Zgaśnijcie, zgaśnijcie zorza! Ty zaś zorze, ty radości hrabiego, pospieszaj, przybądź jak najprędzej."

ROZDZIAŁ SIODMY.

Radosne zobaczyny.

Z pierwszym świtem był już ojciec Beatus na równych nogach. Wyszedł do nabrania sił na świeże, ranne powietrze. Mało bowiem spał w nocy. Dziwna, tajemna rozkosz z powodu oczekiwania szczęsnej owej godziny, kiedy mu będzie wolno przywrócić tak długo opłakiwaną małżonkę hrabiego Waldbergen, rozeszła się po jego członkach. Wyglądał on, jak gdyby jeszcze miał odmłodnieć. Naokoło śpiewały ptaszki poranne swe pienia. Kwiatki w jego ogródku pachniały tak wonnie, jak nigdy przedtem. To pomnożyło rozkosz jego. Serce jego było pełne uczuć jak najsłodszych. Zaśpiewał pieśń, przygrywając na harfie, a tchnienia jego wzbijały się pod niebiosa.

"O mój Boże," zawołał, "jakże cudowna Twa wszechmocność, a jakże wielka Twa miłość! Iluż to, którzy się już nigdy w tem życiu zobaczyć nie myśleli, sprowadzasz znowu na jedno miejsce! Wtedy oni poznają wielkość Twojego miłosierdzia i wielbią Ciebie i dzieła Twoje. Cóż, gdybym i ja jeszcze znalazł syna mojego? Wszakże u Ciebie, wieczna wszechmocność, wszystkie rzeczy podobne. Darzysz mię starego w tej godzinie radością połączenia osób długo rozdzielonych: możesz mi więc i większą jeszcze sprawić rozkosz. O, uczynisz tak! jeśli nie tu, to przynajmniej wkrótce, na tamtym świecie."

Patrząc teraz w dolinę, ujrzał wieśniaków ze wszech stron ku jaskini spieszących. Wszyscy byli w odświętnym ubiorze. Wielu niosło koszyki z kwiatkami i wiązki bluszczu. Uśmiechnął się starzec. "Jakże chętnie są posłusznymi," rzekł z rozrzewnieniem. "Najmniejsze życzenie serca mego wypełniają jak rozkazy jakiego pana."

Ze zbliżających się był Klaus najpierwszym na skale. Rózia stanęła razem z nim. Trzymała ona za rękę pięcioletniego chłopczyka, a na ręku dzierżyła drugiego, gdyż ten był o wiele młodszym. Ojciec Beatus pobłogosławił te dziatki. To sprawiło Rózi radość nie małą. Klaus zaś rzekł: "Pan Bóg rzucił na mnie okiem miłosierdzia. Dał mi bowiem dzielną żonę i piękne dziatki. Dzięki mu też więc za to."

Powoli zebrało się na skale mnóstwo wieśniaków. Nigdy nie wiedział jeszcze przyczyny zwołania swego przez bogobojnego ojca. Wielu myślało, iż da znowu powód do jakiej uroczystości, jak niegdyś przy Elperzundzie. Cieszyli się więc przed czasem; ale Klaus rzekł: "Chciałbym się założyć, iż będziemy świadkami pięknego, rozczulającego widowiska. Usta ojca Beatusa oznaj-

miają wewnętrzne jakieś rozrzewnienie. Można to i z oczu jego poznać, że się nie mylę."

Teraz się wszyscy wzięli do wicia wianków. Wnet upięknione kwiatami celę, ogródek i kapliczkę. Po skałach pozawieszano bluszcz tak sztucznie, że się zdawało, jak gdyby tam wyrastał. Wszędzie na ziemi leżały kwiatki. Nad jaskinią Beatusa powiewał mały gaik z młodych jodeł, które na to umyślnie ścięto. Miła woń rozszerzała się naokoło. Wreszcie zaczęło dnieć coraz jaśniej. Celę, ogródek, kościołek i gaik nad nim, okryła cudna różanność. Ten widok sprawił wieśniakom radość nie małą. Wśród najgorliwszego krzątania przestali cokolwiek, przypatrując się pięknym tym dziwom. Matki brały swe dzieci na ręce i rzekły: "Patrzcie jeno, jak to ślicznie." Ojciec Beatus przemówił: "Widzicie? to Boskie dzieło. Tam, On, najmilsi, chce zwrócić uwagę waszą na swoje cuda. Czerwone to światło na kaplicy jest tylko odblaskiem owego żywszego purpuru, który się tam w odległości po nad wierzchołkami skał rozlewa. A zkąd pochodzi owe żywsze, purpurowe światło? Oto Bóg odwieczny jest jego sprawcą, aby nas tym widokiem napomniał do wielbienia Go w pokorze i w czystości serca."

Tymczasem powstał i hrabia z noclegu. Na prośbę swego gospodarza, przywdział na siebie rycerski swój ubiór. Potem wyszli obaj przed chatę.

Widząc tak pięknego, cokolwiek tylko wybladłego mężczyznę w odzieniu wytwornem, nie wiedzieli wieśniacy wcale, jako sobie to tłumaczyć mieli. Jeden pytał więc drugiego o przyczynę przybycia tak zacnego męża do jaskini Beatusa. Inni pragnęli wiedzieć zkądby przybył i kto był ów nieznajomy, mający piękne czerwone i białe powiewające pióra na kapeluszu, w złoto po brzegach obszytym. Klaus zaś przystąpił do Rózi i szepnął jej do ucha: "Patrz jeno! oto ten sam pielgrzym, któregom to zawczoraj już późno w wieczór przewiózł przez jezioro. Musiałbym już zaniewidzieć, gdybym go nie miał poznać od razu. Jest to prawdziwie dziwnie. Niedawno był w tak nędznym ubiorze, żeś się nad nim aż litowała, a teraz jakiż z niego przystojny rycerz."

Rózia, patrząca ciągle na nieznajomego dała swemu mężowi do poznania, aby zamilczał. Hrabia albowiem poznawszy przewoźnika natychmiast, musiał się uśmiechnąć. To zmięszało Rózię tak, że się zarumieniła. Teraz pobiegła z mężem do dawnego zatrudnienia. Toż uczynili i inni, aby wszystko ukończyć, nimby się słońce zupełnie wzbiło nad wierzchołki gór niebotycznych.

Lecz gdy hrabia zwracając oczy na wszystkie strony, widział, iż skały rozmaicie i gustownie były przyozdobione i że licznie zgromadzeni wieśniacy w odświętnych chodzili ubiorach, zadziwił się i zapytał: "Cóż to znaczy? ojcze Beatusie? O tem wszystkiem nie nadmieniliście mi wczoraj ani słówka. Czyż dzisiaj jakie święto, że się tu ci ludzie zebrali?"

"Tak, święto?" odpowiedział Beatus, "wielkie święto hrabio Waldbergen. Wielkie szczególnie dla was."

"Co?" rzekł hrabia. "Ja was nie pojmuję. Mówcie wyraźniej."

"Ci ludzie," rzekł Beatus, "przyszli tu, aby radość w radości waszej znaleźli. Dotąd wycierpieliście bardzo wiele. Daleko od żony i syna jęczeliście w więzieniu, nie wiedząc nawet, czy jeszcze żyją lub nie. Kosztowało was to gorzkich łez nie mało. Twarz wasza wybladła od smutku. Cicho cierpiąc, musieliście wielkie ponosić w sercu swojem męki. Lecz wznieście oczy do Boga z ufnością, wznieście tam ducha swego. Jeszcze On żyje, dawny nasz Bóg. Nie opuści on, kto się nań spuści. Których rozproszył dla doświadczenia ich, sprowadzi znowu na jedno miejsce, aby się cieszyli. Tak to, podług mego zdania i dla was zrządził.'

"Ojcze Beatusie," rzekł hrabia, "prawdziwie wy umiecie pocieszać serce strapione. Gdybym był w więzieniu czasem tylko takie słowa cieszył, podziękowałbym Bogu za to na kolanach. Ale i wam dziękuję teraz. Jeszcze potrzebuję pociechy. Ojcze Beatusie! wszak moja małżonka nie żyje. Ach, już jej nigdy nie zobaczę!"

"O zobaczycie ją, zobaczycie jeszcze," były słowa Beatusa. Wyrzekł to z powagą

a rysy jego twarzy przybierały wesołość co raz większą. "Ja ją jeszcze zobaczę!" powtórzył hrabia z płaczem. "Zobaczę ją, ale tam w górnych krainach, gdzie nie ma strapienia. O Teodoro, Teodoro! jakże ja się cieszę, że się tam zobaczymy. Jakże mocno, z jaką rozkoszą uścisnę cię w swych objęciach, ciebie i Otona, syna mojego!"

"Chwalebna jest wasza wiara, szlachetny hrabio," rzekł bogobojny starzec, "a słodka wasza nadzieja. Lecz gdybyście wy ukochane te istoty tu jeszcze na ziemi zobaczyli?" Tu zamilkł Beatus, patrząc na niego badawczem okiem. "Ale dla czegoż to pytanie?" zapytał hrabia. "Jest mnie tak miło, cudnie miło w bliskości waszej. Nie dawno wspominaliście mi o jej śmierci, a dzisiaj się zdaje, jak gdybyście mieli jaką wiadomość o najdroższych mi osobach. Ojcze Beatusie! jeźli co o nich wiecie, o nie męczcie mię dłuższem zatajeniem. Mówcie otwarcie. Powiedzcie mi o nich wszystko a wszystko, powiedzcie najdrobniejsze nawet rzeczy. O żonie mojej i o moim synie nigdy się dosyć nie nasłucham."

"Cicho, cicho," rzekł Beatus, uderzywszy go z uśmiechem w ramię. "Jest to rzeczywiście, iż mam o nich wiadomość; powoli wszystkiego dowiecie się odemnie. Tymczasem musicie przestawać na tem zapewnieniu. Wystarczy ono do utwierdzenia waszej ufności w Boskiej wszechmocy i dobroci, wystarczy do uszczęśliwienia was."

Tu spojrzał hrabia w niebo, mówiąc: "Boże mój, dzięki!" Zwróciwszy się potem do Beatusa, zapytał: "A więc żyją jeszcze? Ale gdzież są? Jakże się dotąd utrzymywali? Ach! jakbym chciał wiele o nich słyszeć. O zaspokójcie mię, ojcze, zaspokójcie! Wszak wy o wszystkiem wiecie. Widzę ja wam to z oczu." – "Nim się słońce nad góry wzbije," rzekł Beatus, "wszystko wiedzieć będziecie. Teraz więc pojmujecie, dla czego ta uroczystość. Wśród cudów natury powiększy się radość wasza ze znalezienia ukochanej małżonki. Lud zebrany będzie świadkiem waszej radości i uwielbi, klęcząc, nieodgadnięte Boga zamiary."

"Wszystko to dobrze i pięknie," odrzekł hrabia, "ale wy mię dręczycie coraz to bardziej, szlachetny staruszku! Nie chcecie mi bowiem nic powiedzieć, choć wszystko wiecie. O wystawcie sobie moje położenie. Już blisko lat dziewięć jestem od żony i syna rozdzielony, w ciągu tak długiego czasu nie słyszałem o nich nic. Teraz wreszcie zrobiono mi nagle nadzieję znalezienia ich. Ojcze Beatusie, zaspokójcie mię zupełnie, wszak to w waszej mocy."

"Jakże," zapytał bogobojny ojciec, "gdyby wasza małżonka teraz szła na skałę; blada i skłopotana, w lichem odzieniu, słaba i wątła jeszcze po ciężkiej chorobie, w twarzy z wyrazem białogłowej cierpliwości i z zupełnem zdaniem się na Boską wolę, a w całej swej postaci z śladem niezapomnianego, domowego niegdyś szczęścia, — hrabio Waldbergen! jakże, poznalibyście ją, waszą Teodorę?"

"Natychmiast," zawołał hrabia w zachwyceniu, "wśród miliona niewiast poznałbym ją natychmiast i przycisnął do serca kochającego." "Dobrze," rzekł Beatus, "nim się słońce nad owe góry wzniesie, uściskajcie ją w swych objęciach tutaj wśród woniejących tych kwiatow i wieńców." — "Co? czyż podobna?" zawołał hrabia. "Ojcze Beatusie, jestże to szczera prawda? Ale cóż się ze mną dzieje w tej chwili! Boże dobroci, cóż za rozkoszny poranek zsyłasz mi na tej skale! Wnet, nim godzina upłynie, mam ją znowu zobaczyć, ją, najmilszą moją małżonkę, ją, Teodorę moją, której tyle lat nie widziałem! Ach, nogi się chwieją podemną z radości. Ojcze Beatusie, trzymajcie mię, bo się wywrócę."

"Hrabio Waldbergu," rzekł Beatus, "musicie się w swej radości upamiętać. Jeźli mi przyrzeczecie oczekiwać swej małżonki, powiem wam jeszcze co więcej. — Widzicie tam na skale ową ścieszkę. Tą ona musi nadejść."

Te słowa zdawały się hrabiemu, że z ust anioła brzmiały. Odtąd ani słowa więcej nie przemówił, lecz uklęknąwszy na skale, zkąd mu się najpiękniejszy roztwarzał widok, patrzał ciągle w dolinę. Beatus zaś pomyślał sobie: "Będzie to słodko patrzeć, kiedy ją w zachwyceniu do serca przyciśnie, a wschodzące słońce w łzach radości się odbijać będzie. Mnie samemu jest tak miło, jakbym się miał zobaczyć z ukocha-

nym swym synem. Tak to cudownie działa niespodziana radość współbraci na czułego człowieka. Gdy się sobie wkrótce rzucą w objęcia, wyobrażę sobie jak najżywiej, jakbym i ja miał jeszcze syna uściskać."

Oczy jego połyskiwały przytem, gdyby oczy młodzieńca. Wieśniacy zaś sobie tego wytłumaczyć nie mogli. Spoglądali więc po sobie szepcąc jeden do drugiego: "Tak przemienionego jeszcześmy nigdy ojca Beatusa nie widzieli. Cóż to nastąpi?" Ale Klaus i Rózia przeczuwali zaraz, co to za rozkoszne chwile nadejść miały. "Nieznajomy ten pielgrzym," dał się Klaus słyszeć, "jest rycerzem," a kto wie czem obca pani być może." Na to rzekła Rózia: "Mnie się zawsze zdawało, że ona pochodzi z rodu szlachetnego. Leci dowiemy się z czasem. Niezadługo ma tu stanąć. Moi rodzice mają z nią przyjść razem. Taka była wola ojca Beatusa."

W samej rzeczy wyszła Teodora z domu, skoro zaświtało. Za pomocą poczciwego gospodarstwa wdrapała się na skałę, ku jaskini Beatusa. Była to pierwsza po chorobie tak daleka droga. Wczorajsze doniesienie bogobojnego ojca o życiu i uwolnieniu jej męża, wzmocniło ją nie mało. Nadzieja zaś, iż się w jaskini Beatusa jeszcze czego więcej dowie, uskrzydłała jej nogi. Pomimo częstych napomnień do wypoczynku nie przestała śpieszyć. "Jeszczem się wcale nie zmęczyła," rzekła, "jeszcze wcale nie, drodzy ludkowie. Patrzcie, czyż nie rzeźko stąpam? Czuję się dzisiaj tak zdrową, jakbym nie chorowała. O Bóg miłościwy jest bardzo łaskawy. Wiedział on najlepiej co mnie najprędzej uzdrowi i przysłał mi wiadomość o moim mężu. Gdybym mu tylko za to godnie podziękować zdołała! Lecz on przenika me serce, on zna wszystkie me tchnienia." — "Nie, jeszcze mi nie wolno wypocząć," rzekła dalej. "Dopiero sobie wytchnę, gdy za Boską pomocą w objęciach mego męża się ujrzę. Wtedy mi będzie wypoczynek słodszym, niż kiedybym wśród kwiatów, w cieniu mojej altanki siedziała."

Pomimo przykrości ścieszki, prowadzącej do jaskini, przecię nie utyskiwała dobra ta pani bynajmniej. W dwie godziny stanęła na skale krzakami porosłej. Tu tędy trzeba było iść. Gdy Teodora powoli z krzaków wychodziła, zoczył ją hrabia i poznał natychmiast.

"Oto ona, oto ona!" zawołał pełen niezmiernej radości. "Ojcze Beatusie! oto Teodora, droga moja żona. Tak to ona, moja najukochańsza Teodora." W tejże chwili chciał jej spieszyć naprzeciwko; ale Beatus nie dopuścił tego. "Rozważcie, szlachetny hrabio," rzekł z powagą, "iż dopiero niedawno wstała po ciężkiej chorobie. Zbyt nagła, niespodziana radość mogłaby jej zadać raz śmiertelny. Bieżcie lepiej i stańcie tam za ludźmi, a ja jej pójdę naprzeciwko. Nie bójcie się, już ja ją przyprowadzę w objęcia wasze." Lubo niechętnie usłuchał hrabia rady bogobojnego ojca, stanął za gromadą ludu stojącego wszędzie na brzegu skały i patrzącego na zbliżającą się panią, większe dzieci przeciskały swe głowy między dorosłymi wieśniakami, a małe zupełnie mogły się przyglądać siedząc na ręku swych matek.

Będąc Beatus już przy Teodorze, dał jej rękę i rzekł z weselem: "Witam panią, a witam całem sercem. Droga do jaskini znużyła panią bezwątpienia. Ale to utrudzenie nadgrodzi się tysiączną radością." — "O," rzekła Teodora, "niech tylko doznam jednej rozkoszy, to jest: napowiadajcie mi o moim mężu jak najwięcej."

"Podziękuj pani Bogu," rzekł Beatus, "o podziękuj za łaskawe wysłuchanie gorącej modlitwy. Zobaczysz się bowiem pani z mężem swoim, zobaczysz i uściskasz go. Już on niedaleko."

"Co niedaleko?" powtórzyła prędka Teodora. "O, powiedzcie, gdzie jest, gdzie go mam szukać; jeszczem nie znużona. Pójdę, pospieszę mu naprzeciwko. O ja jeszcze mam dosyć siły. Ojcze Beatusie! zlitujcie się nademną. Ach już tak długo pragnęłam go zobaczyć. Wszak widzicie, żem zdolna znieść tę radość niepojętą. Powiedzcie mi, gdzieżby był. O, gdzie on jest, mój Henryk?"

Wśród tej rozmowy ujrzeli się przed jaskinią. Tu stanął Beatus i przemówił uroczystym a rozczulonym głosem, wskazując na gromadę wieśniaków: "Tu między tym ludem znajduje się." Ledwie co te sło-

wa wymówił, aż tu zaczęła Teodora przez tłum przetłaczać się, wołając: "Henryku, mój Henryku!" Milcząc, rozstępywali się wszyscy przed nią. W tem odezwał się głos: "O Teodoro!" a hrabia spoczywał w objęciach swojej małżonki.

Gdy się przy drzwiach ogródka wieńce, bluszcz ciemno zielony i żółtawy mech aż ku ziemi obwijały, tam klęknął Henryk z Teodorą z wzniesionem ku różanemu niebu obliczem. Tu wylewali łzy radości. Beatus stał obok nich i błogosławił ich, ręce nad nimi wyciągnąwszy. Wszyscy przytomni byli głęboko wzruszeni. Cisza uroczysta panowała na około. Teraz począł hrabia na głos się modlić: "Tam w ciemnicach więzienia wzywałem Cię, o Boże! a wysłuchałeś mię. Ile razy czułem się już bliskim śmierci, a przecię mi jeszcze wolno oddychać, oddychać w uściskach swojej małżonki. O dzięki Ci za to, dzięki bez końca!"

Teodora nie mogła się jeszcze upamiętać w radości. "Więc w samej rzeczy jesteś moim Henrykiem?" powtarzała często, przyciskając hrabiego coraz serdeczniej do łona. "A więc mię zmysły nie łudzą! Nie, nie! tyś jest nim rzeczywiście. Oto twoje, twoje ramiona, które mię obejmują. O gdyby i Oton był obecnym! gdyby i on mógł ojca swego uściskać i płakać przy jego piersi! O Henryku mój drogi! jest on pięknym, dobrym młodzieńcem. W mojej samotności moc mi radości nasprawiał. Jam go zupełnie podług ciebie wychowała. Wiele on słyszał odemnie o swoim ojcu. Tęsknota opanowała serce jego za tobą tak, że postanowił szukać cię w świecie. Lubom z obawy, aby mi i on nie zginął, strumienie gorzkich łez wylewała, przecię zezwoliłam na głos tkliwych, synowskich uczuć jego. Opuścił więc jako sokolarz tę spokojną dolinę."

"Jako sokolarz?" zapytał nagle hrabia. O powiadaj Teodoro, jakże był ubrany?"

"Miał on," odpowiedziała Teodora, kurtkę zieloną, żółtawe spodnie kozłowe i barecik z zielonemi pióry. To stanowiło jego odzienie. A na plecach dzierzył klatkę ze sokołami."

"O Boże!" zawołał hrabia. "Czyż podobno? Miałżeby mię własny mój syn z więzienia oswobodzić? Trzeba ci bowiem wiedzieć, iż mój wybawca w takimże był ubiorze, miał sokoła na ramieniu. Teodoro, coraz piękniej rozwija się nasza historya. Uznaję ja wyraźnie władzę Najwyższego Pana nad nami. Wszystko co się nam trafiło, musiało się tak stać, abyśmy na przyszłość coraz czyściej, coraz doskonalej Boga wielbili; abyśmy czy w niedoli, czy wśród pomyślności, jednem słowem we wszystkich okolicznościach życia wierzyli w świętą tę prawdę, iż z Boskiej ręki wszystko na dobre wyjdzie."

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Czara radości jest pełna.

Jeszcze hrabia mówić nie przestał, aż tu się z doliny wśród ranka głosy rogów myśliwskich mile odezwały. Niespodziany ten dźwięk zwołał wszystkich przytomnych nad pochyłość skały. Każdy chciał poznać tego przyczynę. A jakież zadziwienie opanowało ich, gdy hufiec młodych rycerzy, jak najwybrańszych, na ścieżce do jaskini prowadzącej, ujrzeli. Mile połyskiwały włócznie i szyszaki przy odblasku zorzy jak najżywszej, połyskiwały czerwono jak drgające błyskawice. Na ich czele przewyższał jeden wszystkich innych. Trzy ogniste pióra powiewały na jego przyłbicy. Tym zaś rycerzem był Oton. Przybywszy do doliny, dowiedział się od wieśniaków, mogących go zaledwie poznać w tym jego ubiorze, iż matka jego o świcie do jaskini Beatusa pobiegła, i że wiele ludu tam się udało. "Ojciec Beatus," rzekli, "zgotuje im zapewne tego poranku jaką wielką uroczystość." Ledwie co się tylko o tem dowiedział, a zaraz ruszył na skałę. Serce jego pukało mocno z radości, iż się za kilka chwil i z ojcem i z matką zobaczy. Towarzyszący mu giermkowie taki mieli udział w jego szczęściu, iż się tak szybko, gdyby na równej drodze, do góry wdrapali.

Będąc już Oton na skale, potoczył prędko okiem po zadziwionych wieśniakach. Pewien wyraz wesołej, gwałtownej niecierpli-

wości malował się na jego twarzy. A gdy tak śledził i niby wzrokiem drogi sobie przez tłum wypatrywał, płonęła na jego licach rumienność, podobna do zorzy nieba porannego. Nagle zaiskrzyło oko jego ogniem młodzieńczej radości. Znalazł bowiem kogo szukał. Z wykrzykiem: "Ojcze, Matko! Oto ja jestem, wasz Oton!" rzucił się to w Henryka, to w Teodory objęcia. "O tak," zawołał hrabia, "tyś tym samym, który mię wybawił, tyś Oton, ty syn mój! A sokół na ramieniu ci siedzący jest także ten sam, który się do wybawienia przyczynił. O jakże cudowne, nieskończenie cudowne są drogi Twoje, o Boże! Jakże mądrze, jakże łaskawie doprowadzasz swe dzieci do celu!"

"Teraz, drogi Otonie," rzekła Teodora; "teraz się przypatrz dobrze swemu ojcu, długoś go nie widział. Wszakżeśmy go znaleźli. Ta jedyna chwila wystarczyłaby już, aby wszystkie nasze przeszłe cierpienia zatrzeć wieczną niepamięcią."

"Prawda, prawda!" rzekł hrabia, ściskając żonę i syna na nowo. "Dobroć naszego Ojca w niebiesiech zgotowała nam rozkosz, której się nigdy z pewnością nie spodziewaliśmy. Ach, gdyby się tylko mój ojciec tutaj znajdował; o gdyby mu wolno było syna swego właśnie teraz poznać, kiedy tenże żonę i syna znajduje. Ale me życzenia za daleko sięgają, o za daleko! Jest on już na tamtym świecie. Duch tylko jego szczęśliwy spoziera nas ze zachwyceniem i błogosławi nam."

Tu odwrócił swe oblicze od zgromadzenia, dla pokrycia boleści wyrażającej się w oczach swoich. Tymczasem musiał Oton całe oswobodzenie ojca swojego opowiedzieć. Wszyscy przysłuchiwali się z głębokiem wzruszeniem. A gdy o zdarzeniu na dworze cesarskim mówił, zbliżył się i Beatus i nie spuścił ani słówka z uwagi. Wreszcie wyjął Oton z płaszcza zwitek pergaminu i podał go hrabiemu, mówiąc: "Oto, mój ojcze przysyła ci cesarz list, którym ci na nowo nadaje prawo do posiadania włości przodków swoich. Teraz się znowu zowiesz hrabią Henrykiem na Falkenbergu." Ledwie co te słowa skończył, aż tu sędziwy Beatus padając zbladły na skałę, zawołał: "O Boże! Boże wszechmogący! Mój Henryk, mój syn? oto twój ojciec! Patrz, ja jestem Rudolf hrabia na Falkenbergu!"

"O nieba!" krzyknął hrabia, padając przed nim na kolana i zaczął mu czoło i lica rozgrzewać dla przywrócenia go do życia. Teodorę zaś przenikała nowa, święta rozkosz. "Tyś ojciec mego Henryka, tyś mój ojciec!" szepnęła i głaskała lekko pierścienie jego śnieżystych włosów. I Oton rzucił się na ziemię i objął kolana staruszka. "Dziaduniu, patrz, oto twój wnuk!" Więcej wymówić nie był w stanie. I na zgromadzony lud zrobił ten widok takie wrażenie, iż wszyscy złożywszy ręce oczy ku niebu wznieśli. Głęboka cichość spoczywała na około, jakby w jakiej jaskini, kiedy głos Boga ma być głoszonym.

Wreszcie wzmógł się Beatus powoli i jeszcze drżący z nagłego omdlenia. Otworzywszy oczy widząc swe dzieci przed sobą, zawołał: "Więc to nie żadne marzenie? Więc nie omamienie żadne? Henryku pójdź, niech cię uścisnę. O, ileż razy życzyłem sobie ujrzeć cię znowu. Od pożegnania się twego na wzgórzu Falkenberskim, przy odjeździe do Merenfelzu na wykształcenie, ciągle mię ta myśl zaprzątała. Co godzina i we dnie i w nocy padałem na kolana, błagając Boga o wysłuchanie najgorętszej mej prośby, aby przed śmiercią raz jeszcze mógł ujrzeć mojego Henryka. A teraz, Ojcze w niebiesiech, jakże cudownie wszystko zrządziłeś! Nie tylko przywróciłeś mi mojego syna, ale pozwoliłeś także, że mimo wiedzy cały czas byłem ojcem, ojcem jego Teodorze i jego Otonowi. O uściskaj mię, Teodoro, małżonko mego syna; ty droga moja córko! A ty Otonie, kochany mój wnuku, pokaż twe lica, ocałuję ci je."

Dalej mówić nie był wcale w stanie. Łza za łzą spływała po srebrzystej brodzie jego. Teodora przytuliła swą głowę do ojcowskiej piersi, w której serce wśród niepojętej rozkoszy, gdyby w łonie młodzieńczem, mocno pukało. W objęcia prawej ręki starca spoczywał syn, a w objęciu lewej wnuk jego. Jednogłośnie brzmiało z ust ludu: "O Bogu dzięki, Bogu dzięki!" Tymczasem wzbiło się słońce po nad skały pięknie i wspaniale i zlewało złote swe promienie na piękne widowisko.

W godzinę po pierwszych chwilach rodzinnej rozkoszy, gdy się wreszcie wszyscy w niepojętem swem szczęściu nieco upamiętali, usiedli sobie na ukwieconą murawę. Toż uczynił i lud. Na dowód słusznej radości pokazywał Beatus swym dzieciom herb rodzinny domu Falkenbergów, który ten klejnot zawsze nosił przy sobie. Henryk, Teodora i Oton musieli także opowiadać, co im się tylko aż do tejże chwili przytrafiło.

"O Boże!" zawołał sędziwy Beatus przy końcu opowiadania, "jakże Cię wielbić trzeba za cudowną opatrzność twoją. Tyś zrządził, iż się żywy z pobojowiska wydostałem i Tyś mi dał znaleźć tu na tej skale przytułek, abym był doradzcą i pocieszycielem dla córy mojej kochanej, której nie znałem."

"A ja," rzekł hrabia Henryk, "musiałem wiele cierpieć, musiałem żyć z żoną i synem rozdzielonym, aby w ich bliskości ojca znaleźć najukochańszego."

"O tak!" rzekła Teodora, "było to natchnieniem, cudownem natchnieniem Boga, żem zamek Waldbergen na podarunek dla męża wyhaftowała. Gdyby nie ten obrazek, nigdybyśmy się nie zeszli byli; i to było Boską wolą, iż uciekając do tej się schroniłam doliny."

"Ja się też mocno cieszę," przemówiła Rozia, nie mogąc już dłużej milczeć, "cieszę się niewymownie, iż Bóg miłościwy właśnie mnie wybrał do wprowadzenia was do tej doliny. I teraz jeszcze czuję w sobie to miłe zadowolenie z dobrego mego uczynku, czuję tak doskonale, jak w ów czas, kiedy mię ojciec Beatus za to błogosławił."

"Rózia ma prawdę," odezwał się Lejthold. "Dobry uczynek sprawia miłe zadowolenie, a czasem jeszcze przynosi stokrotne owoce. Gdyby młody hrabia Oton nie był dopomógł biednemu podróżnemu, gdy tenże leżał bez ratunku w boru; wtedyby nie tak łatwo było oswobodzić ojca swego."

"Pamiętajcie to," przerwała Giertruda dalszy ciąg mowy mężowskiej, zwracając się do wnuków swoich, "pamiętajcie to dziatki i postępujcie sobie zawsze, jak sobie młody hrabia postąpił, a będzie spływało na was Boskie błogosławieństwo."

"Ja się też," rzekł Klaus, chcąc hrabiego całować w rękę, "przyczyniłem nieco do waszego zobaczenia się; przewiózłszy was przez jezioro do jaskini." Na to się rozśmiał Oton zaś rzekł: "Najbardziej przecię przysłużył się ten sokół, siedzący mi na ramieniu. O mój ty ptaku, dobry ptaku, tyś mi uwolnił ojca z więzienia."

"Padnijmy na kolana," rzekł Beatus, "i złóżmy Bogu winne dziękczynienie. We wszystkich bowiem naszych przypadkach widzimy Boga prowadzącą prawicę. Najmniejsza okoliczność, którą człowiek za niegodną uwagi utrzymuje, jest często podług świętej jego woli przyczyną największej radości, abyśmy go w każdej jego sprawie poznawali." Tu znowu wykrzyknął lud jednogłośnie: "O dzięki, dzięki ci Boże!"

Na trzeci dzień prosił bogobojnego ojca syn jego Henryk, aby się z nim na dobra dziedziczne raczył udać. Lecz długo nie chciał Beatus na to zezwolić. "Bo czemuż," rzekł: "mam porzucić miłe to miejsce. Jużem ośmdziesiąt lat stary, a ten krótki czas, który mi jeszcze pozostaje, chciałbym chętnie modlitwie i to na tej tu skale poświęcić." Wreszcie przecię odstąpił od swego postanowienia, gdyż Henryk i Teodora prosić go i zaklinać nie przestali. Przewoźnik Klaus musiał mu przyrzec, iż przynajmniej raz w tydzień na skałę się uda i tam w sygnarek na powszechną modlitwę dla mieszkańców zadzwoni.

W dzień odjazdu zgromadził się wszystek lud przy jaskini Beatusa. Oton porozdawał wiele drogich rzeczy, które z sobą ze stolicy był przywiózł. Każdy dostał coś. Lejthold, Giertruda, Rózia i Klaus odebrali największe podarunki. Lecz to mało sprawiło uciechy. Wszyscy bowiem żałowali serdecznie, iż wkrótce mieli postradać bogobojnego ojca i dobrę szlachetną panią. A gdy Beatus będąc do odjazdu już we wszystkiem gotowy, i otoczony dziećmi swojemi, stanął wśród ludu i z kolei wszystkim z rozżalenia nic nie mówiąc, na pożegnanie rękę podawał, wtedy zajęczał płacz głośny, płacz hukliwy. Jedni całowali go w ręce, inni zaś całowali płaszcz jego. Mężatki i dziewczęta otoczyły Teodorę i życzyły jej najpomyślniejszej podróży. Najrzewniej płakała Giertruda z Rózią swoją. "Ach!" rze-

kła Giertruda, "szlachetna pani, ja was pewno już nigdy w tem życiu nie zobaczę."

Ojciec Beatus poszedł teraz do kapliczki, ukląkł przed ołtarzem i modlił się głośno po raz ostatni za lud zgromadzony. Wstawszy potem, pożegnał się z świętem miejscem i ruszył w drogę. Większa część ludu odprowadziła go aż do drugiej doliny. Im dalej do domu, tem więcej ubywało wieśniaków. Powoli wrócili wszyscy nazad, bez wtórego, dla uniknienia nowej żałości, pożegnania i w najgłębszem milczeniu. Beatus zaś wsiadł wraz z dziećmi swemi do powozu i wyjechał.

Dla dotrzymania przyrzeczenia, chciał Oton przez Felzenhejm jechać. Na to zezwolił bogobojny ojciec jak najchętniej. Matylda i Agnieszka płakały z radości, usłyszawszy, iż się poczciwi ci ludzie przecię znaleźli. Ale bolało jej serce także, iż Dytrych jedynym sprawcą był tyle utrapień i nędzy. Natychmiast poznała Teodora szlachetne serce rycerzowej jako też i jej córki. W kilka godzin nabrały ku sobie poufałości jak najserdeczniejszej. Na trzeci dzień ruszyli dalej. Przy pożegnaniu odważyła się Agnieszka prosić hrabiego Henryka o łaskę dla ojca. "Dobrze, dobra córo," rzekł hrabia, "wszystko mu przebaczę, skoro się przez czas postanowionej od cesarza kary prawdziwie poprawi."

Gdy się najstarsi mieszkańcy we Falkenbergu o życiu hrabiego Rudolfa dowiedzieli i że za dni kilka wraz ze synem swoim przyjedzie dla odebrania swych włości, postanowili z niewymowną radością dzień przyjazdu jego jak najuroczyściej obchodzić. Tak się też stało. Starzy i młodzi wylewali się w najżywszych oznakach radości i wesela. Całe drzewka pościnano i utkwiono je przy drodze. Dźwignięto także bramę tryumfalną. Gościniec usypano kwiatkami. Mirę nawet palono. "O znowu będziemy mieli dobrego hrabiego za pana!" ten wykrzyk był jednogłośnem hasłem w całej dolinie.

Oddawszy Beatus swe włości synowi swojemu Henrykowi, był jak dawniej w Szwajcaryi i tu bogobojnym starcem. Na miejscu przeszłego wybudował Henryk nowy zamek. W dobroczynnym spokoju przepędzał Beatus ostatnie dni późnej swej starości. Dzieci jego uganiały się gorliwie, aby mu ile możności radość i uciechę jak największą sprawiać. Poznał to dobrze sędziwy starzec. Mawiał więc często: "Bóg miłościwy jest bardzo łaskaw dla mnie. Udarza mię bowiem na stare moje dni tak troskliwą wygodą. Ach!" dodał jeszcze zwykle, ściskając dzieci i z wzniesionem ku niebu obliczem: "Jest to wieczna prawda: Mądrość i dobroć Boska jest bez granic!"

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Pan Bóg napomina cię: Grzeszny prochu popraw się.

Rozwaliny zamku, w którym rycerz Dytrych siedział uwięziony, znajdowały się wśród ogromnego, ustronnego boru. Wieża z ciosanego kamienia zbudowana, mogąca więc długo słoty i wichry wytrzymać, była jeszcze na pomieszkanie dogodna. Inne zaś części zamku leżały jako kupy ułomków i gruzów, na których oset, brzozy, krzaki i wysoka trawa rosła. Czterech silnych uzbrojonych ludzi, którym jak najsurowiej przykazano było, aby z rycerzem ani słówka nie mówili, miało nad nim dozór i strażowało go. Sklep najgłębszy pod wieżą, którego szczupły z kraty otwór bardzo mało światła wpuszczał, gdyż obok wieży dwa ogromne dęby cień swą rzucały, ten sklep był jego pomieszkaniem.

Z początku nie okazywał Dytrych żadnej poprawy. Smutne, puste to miejsce i wyłączone od wszelkiego z ludźmi obcowania, zdawało się go jeszcze złośliwszym robić. Najświętsze przeklinał rzeczy i szalał często tak okropnie, iż w swej zapamiętałości głowę o mur tłuc zaczął. Nieraz schwycił ciężkie swe kajdany, okręcił je sobie o ręce i ściągał je tak mocno w swojej wściekłości, że aż mu krew z pod paznogci wytryskiwała.

(Dokończenie nastąpi.)

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

SCENA XV.

Baronowa — Nieznajomy.

Baronowa.

Może pan pozwoli, byśmy naszą rozmowę na inny raz odłożyli.

Nieznajomy.

Co?

Baronowa.

Byłoby największą niegrzecznością zatrzymywać pana dłużej.

Nieznajomy *(na stronie)*

Znów zmiana? (*głośno.*) Mogę panią zapewnić — zaręczyć!

Baronowa.

Nie panie, nie, korzystej pan z pogody.

Nieznajomy *(na stronie.)*

Zdaje mi się iż się domyślam powodu tych zmian.

Baronowa.

Przyjmij pan moje szczere podziękowanie za tę miłą chwilę, którą mnie pan udarowałeś.

Baronowa *(idzie do lustra i poprawia włosy.)*

Nieznajomy *(na stronie, biorąc kapelusz.)*

Zatrzymywała mnie w czasie deszczu, wypędza, gdy pogoda, nudzi się, trzeba jej było zabawki, i może się bawić chciała? Chciałbym się zemścić, wściekam się iż nie mam sposobu, dać jej małej nauczki.

Baronowa *(na stronie.)*

Nie może się zdecydować, by mnie pożegnać.

Nieznajomy *(zbliżając się.)*

A więc żegnam panią, przyjm pani najnajszczersze podziękowanie za gościnność, jakiej tu doznałem, składam moje uszanowanie! (*zabiera się do wyjścia.*)

Baronowa.

Radzę panu zwiedzić naszą okolicę, widoki cudowne, łąka królewska, skały djabelskie; możesz pan teraz to wszystko zwiedzić spokojnie, bez obawy zostania napadniętym. Sławny Mirandon schwytany.

Nieznajomy *(myśląc.)*

Mirandon?!

Baronowa.

Mirandon, sławny rozbójnik, którego się okropnie bałam.

Nieznajomy *(na stronie).*

Mam zemstę!

Baronowa

Wczoraj go schwytano.

Nieznajomy.

Widziałam go dziś rano, jak go prowadzono pod strażą na kolej żelazną.

Baronowa.

Chwała Bogu, będziemy teraz spokojnie spali

Nieznajomy.

Niezupełnie pani.

Baronowa.

Jakto, skoro?...

Nieznajomy.

To człowiek zręczności i siły nadzwy-

czajnej. Uwolnił się z więzów, które go krępowały, przewrócił czterech żandarmów i zbiegł w las.

Baronowa.

Wielki Boże, więc jest wolny?

Nieznajomy.

Wolny, jak pani i ja ..

Baronowa.

Więc znowu zaczną się rozboje, znów oka nie zmrużę. Mirandon, już samo to imię mię straszy. On musi być okropny, bardzo brzydki, jak mówią ludzie.

Nieznajomy.

Przesadzają.

Baronowa.

Pan go widziałeś?

Nieznajomy.

Dziś rano, jak go prowadzono. On nie jest taki brzydki, włosy ma takie, jak moje.

Baronowa.

Czy podobna.

Nieznajomy.

Moje czoło.

Baronowa.

Co pan mowi?

Nieznajomy.

Mój nos, moje usta, moję brodę.

Baronowa.

Więc Pan do niego podobny?

Nieznajomy.

Jak dwie krople wody.

Baronowa.

Jakiego jest wzrostu?

Nieznajomy.

Mojego!

Baronowa.

Wiele ma lat?

Nieznajomy.

Tyle, co ja.

Baronowa *(przestraszona.)*

Więc może... (*Nieznajomy zamyka wszystkie drzwi na klucz.*) Co on robi? Co Pan robisz?

Nieznajomy.

Sławny Mirandon, to ja!

Baronowa *(przerażona.)*

Panż

Nieznajomy.

Tak pani, ja.

Baronowa *(j. w.)*

Zginęłam!

Nieznajomy *(surowo.)*

Ani słowa, samaś mnie pani zaprosiła.

Baronowa.

I to gwałtem. Co pan chcesz, pieniedzy?

Nieznajomy.

Jakto, pani rozumie?

Baronowa.

Chcesz pan złota?

Nieznajomy.

Biorąc mnie początkowo za szklarza, teraz pani myślisz, że jestem wekslarzem?

Baronowa.

Chcesz pan mieć moje brylanty?

Nieznajomy.

Mam ich dosyć.

Baronowa.

Więc czego pan żądasz?

Nieznajomy.

Rozrywki, zabawki, tak jak pani w czasie deszczu.

Baronowa.

A cóż mam robić, by pana zabawić.

Nieznajomy.

Trzeba mnie kochać!

Baronowa *(obrażona.)*

Kochać pana?

Nieznajomy.

To mnie tylko zabawi.

(Dokończenie nastąpi.)